



# Płaszcz

**E**gzaminy w naszej Akademii Teatralnej, to nie tylko zdawanie sprawy przez studentów ze zdobytych umiejętności aktorskich, ale również, dla nas profesorów, konieczność zaopatrywania egzaminowanych w odzież. Dla klasycznych sztuk trzeba wystarać się o kostiumy stylowe, i te wypożycza się z warszawskich teatrów, do sztuk współczesnych natomiast państwo profesorstwo najczęściej wywlekają z domowych szaf potrzebne części garderoby *własnej lub rodziny* i odziewa w nie swoich podopiecznych. Magazyn szkolny jest ubogi, a to, czym dysponuje, jest już tak zniszczone i wydatte przez poprzednie pokolenia, że żadnego ludzkiego okrycia toto już nie przypomina. Bywa łachem, mogącym służyć zebrałowi w każdej epoce i w każdym stylu. Ach, te pieniądze, te pieniądze, ich brak!

Tak więc, na egzamin mojego rocznika również musiałam przynieść ogromny kosz wypełniony ciuchami. Między innymi kloszowy żakietik welurowy dla Małgosi, czerwone rajstopy dla Magdy, zielone dla Oli, dla Grześka czarną sztruksową koszulę „Levi Straussa”, a dla Marcina angielski, czarny płaszcz „Burberry” z aksamitnym kołnierzem. Po egzaminie mieli złożyć ubrania do tego samego kosza, w którym zostały przyniesione.

Zadowolona z przebiegu sprawy, poszłam do pokoju profesorskiego „rozgadać” egzamin z moimi kolegami pedagogami. Potrzebowałam wyciszyć emocje. Bo nie tylko studenci mają tremę i podlegają stresowi egzaminacyjnemu, my również. W tym samym stopniu, co oni. Sprzęgnięci wspólnym dążeniem do sukcesu, pragniemy, jak zgrany team futbolowy, strzelić gola. Oni, aktywni na boisku, my, trenerzy, bierni już, na ławie poza boiskiem. Dlatego lubimy się. Jesteśmy blisko siebie i nawzajem się potrzebujemy. Teatr to stado, zespół. Jeden bez drugiego nie istnieje. I tej wspólności młodzi uczą się już w szkole.

**T**ak więc wyciszałam poegzaminacyjne emocje wśród przyjaciół, w pokoju profesorskim na parterze, a piętro wyżej wyciszali się moi uczniowie w gronie gratulujących im ich kolegów.

W pewnej chwili przypomniałam sobie osieroczonego, pozostawionego nie wiadomo gdzie kosza. Wyjrzałam na korytarz, wpadła mi w ręce Ola.

- Olu! Gdzie kosz z betami?!
- Nie wiem.

- Był w sali, w której się przebierałście. Stał na pianinie.

- To powinien tam być.

- Leć na piętro i przynieś mi tu, do profesorskiego.

Ola spełniła polecenie. Postawiła kosz na krześle. Na wierzchu czerniły się porządnie ułożone ubrania. Wydało mi się tego dziwnie mało, nie zatrzymałam jednak uwagi na koszu, ponieważ porwała mnie dyskusja, czy to, co pokazałam na egzaminie to pastisz Molierowskiego „Don Juana”, czy tylko wulgarna aktualizacja. Jedni twierdzili, że pastisz, inni atakowali, że aktualizacja.

Niepogodzeni, poźegnaliśmy się.

W domu stwierdziłam, że w koszu jest wszystko, prócz czarnego płaszcza „Burberry” z aksamitnym kołnierzem.

Następnego dnia zapytałam Marcina, czy włożył płaszcz do kosza. Zdziwił się.

- Ułożyłem go na samym wierzchu.

- Nie ma go.

- Jak to nie ma? Pani profesor, sam osobiście pakowałem.

- No to ktoś go sobie przywłaszczył.

Marcin z Olą oblecieli wszystkie możliwe do spenetrowania miejsca. Wrócili zgnębieni. Płaszcz nie było. Marcin czuł się winien. Ola czuła się winna. Mnie było głupio, że im jest głupio. Jednym słowem, przykreść.

Dla wspólnego spokoju wywiesiłam na tablicy szkolnej ogłoszenie:

## ZAGINAŁ PŁASZCZ!!

*Został wyjęty z kosza przez kogoś, komu się spodobał. Był to płaszcz bliski memu sercu. Tego kogoś proszę, aby dyskretnie odwiesił go w szatni.*

Dziękuję! Zofia Kucówna

W gruncie rzeczy pogodziłam się ze stratą i szukałam pocieszenia w fakcie, że **wprawdzie** płaszcz był piękny, ale tak naprawdę służył mi głównie na pogrzebach. Miał trzydzieści lat, zapinał się po męsku z lewa na prawo i był już lekko sfatygowany.

**M**inęło kilka tygodni. Powoli zapominałam o zdarzeniu. Wir innych spraw zajął myśli i wyobraźnię.

Pewnego dnia otrzymałam z poczty awizo. Przesyłka polecona. Stałam w kolejce około 15 metrów. Wręczono mi paczkę od nieznajomej osoby. Przyniosłam do domu. Porozcinałam miśternie zasupłane sznurki i zdumionym oczom ukazał się mój rodzony płaszcz „Burberry” z aksamitnym kołnierzem. Wymięty, niebożętko, poplamiony stearyną, zlumpowany jak twarz bon vivanta po całonocnym bankietowaniu. Była też karteczka. Liścik na kratkowanym papierze, wyrwanym z zeszytu:

*Dziękuję za płaszcz. Świetnie się w nim bawiłem na karnawałowym balu karawaniarzy. Przepraszam za zdenerwowanie.*

Stałam na środku pokoju z niezbyt mądrą miną. Przeżywałam mieszankę sprzecznych uczuć. Radość i wściekłość, podziw i nienawiść, ulgę i potrzebę mordy, wdzięczność i niechęć.

Bogato było w mojej duszy.

Ostatecznie zakwalifikowałam zdarzenie do optymistycznych, mało prawdopodobnych, lecz możliwych.

Oddałam płaszcz do pralni.

**G**dyby ten, któremu się spodobał, nie rąbnął go z kosza i nie użył do niecnych hulanków, mój płaszcz długo jeszcze musiałby czekać na kąpiel. Może nigdy by się nie doczekał. Tak więc, towarzyszące mi od początków mego dorosłego życia motto: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, znów się uaktualizowało.

Odebrałam z pralni nie płaszcz, ale ósmy cud świata, w pełnym blasku swej angielskiej urody.

W szkole wywiesiłam ogłoszenie:

## PŁASZCZ ZNALAZŁ SIĘ!

*Serdecznie dziękuję anonimowemu nadawcy za przesłanie mi do domu, drogą pocztową, zaginionego płaszcza. Cieszy mnie, że przydał się na karnawałowym balu karawaniarzy. Wygląd jego zdradza, że on też zdrowo sobie pohulał i zabawił się, za co również serdecznie dziękuję.*

Nie ulega wątpliwości, że mój płaszcz z pogrzebowego awansował na płaszcz karnawałowy. I taki jest zysk niezwykłej jego przygody.